



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Ach, niema już Singalezów, którzy swoją wizytą „zaszczycili“ Warszawę i pomiędzy dzikimi zwierzętami w Ogrodzie Zoologicznym pokazywali swoje muskularne plecy i ramiona, brązowe twarze i klasyczne kształty!...

Opowiadano mi (ja nie chcę powiedzieć, że sam widziałem) o szczególniejszym zachwycie pewnych nowoczesnych entuzjastek, które biegały codziennie do zwierzyńca, by podziwiać dzikusów.

To mizdrzenie się do pół-dzikiego Apollina, który był *the greatest attraction* trupy singalezów, a którego cywilizacja i trzyletni pobyt w Europie nauczyły poufałości, podawania ręki, prawienia niezręcznych komplementów kobietom i rozdawania bilecików wizytowych na pamiątkę, sprawiało bardzo niesmaczne wrażenie. Zanotowałem sobie nazwiska tych pań, które za wiele okazywały zamilowania do etnologii i pójść sprawdzić, czy taksamo zajmować się będą olbrzymim koniem i olbrzymim osłem, sprowadzonym obecnie do Ogrodu Zoologicznego, na miejsce „faworytów“ warszawskiej publiczności.

W Łodzi trzeźwiej i rozsądniej traktowano tychczasomych Singalezów, którzy i nasz polski Manchester „zaszczycili“ kilkodniowym pobytom; szczupła garstka ciekawych przyszła popatrzeć na nich pierwszego dnia i odeszła, wzruszając ramionami.

Łódź jest praktyczną; jej nie imponują muskularne kształty, bo ona ma swoich... cyklistów, którzy wyrabiają zręczność i siłę i nie obawiają się żadnej rywalizacji.

Przyjechali do Warszawy w gościnę i na wyścigach jedno i dwukołowych zdobyli pierwsze laury; urządzili u siebie takisam turniej i znowu pobili warszawskich współzawodników, od dawszy zaledwie, jako „pocieszenie“ jeden medal brązowy gościom znad Wisły. Fortuna jakoś nie sprzyja naszemu klubowi „kołowników“, jakkolwiek sama jest cyklistką i od wieków pędzi na welocypedzie skrzydlatym; my za to więcej szczęścia mamy na wodzie, niż na lądzie, czego dowodem są każdoroczne regaty naszych dzielnych wioślarzy, którym stale admirałuje hr. Józef Krasieński.

Pokazuje się, że rozwijamy lepiej nasze górne, niż dolne kończyny i więcej mamy wprawy w rękach, niż w nogach; znaczyłoby to w dalszej konsekwencji, iż mamy więcej siły do znoszenia rozmaitych brzemion, ale mniej siły podstawowej.

Najslabszy wszelako punkt nasz przypada na strefę równikową naszego organizmu, około pasa, gdzie ongi mieścił się trzos, a gdzie poniżej znajdują się dziś kieszenie. Pustki w kaletach są dziś tak powszechną dolegliwością, że nawet kamienicznicy, ludzie uważani według wszelkich pozorów za najzamożniejszych obywateli miasta, publicznie przyznają się do biedy i utyskują, już nietylko na brak gotówki, ale i na brak kredytu.

Niewesoła ta sprawa wyszła na jaw z okazji smutnej (dla nosów naszych) pamięci kanałów miejskich, które p. Lindley z p. Höhmanem (p. Höhman jest panem vice-Lindleyem) budują ciągle jeszcze w Warszawie. Chodzi obecnie o połączenie pojedynczych domów z głównymi arteriami naszej kanalizacji. Zarząd miasta całkiem słusznie w interesie mieszkańców, w interesie zdrowia publicznego i porządków miejskich domaga się budowy tak zwanych przykanalików, ale panowie właściciele domów wymawiają się

brakiem funduszków na taką innowacją, jakkolwiek całą jej słusność i praktyczność uznają.

— Nie mamy pieniędzy — powiadają na swoje usprawiedliwienie, świadcząc się... płótnem w kieszeniach — zróbcie co, żebyśmy wydosłali fundusze na kosztą budowy, a będziemy się kanalizowali najchętniej.

Tymczasem o te fundusze nie łatwo wobec obdużenia każde; niemal hypoteki; miałem tę przykrość wykazywania na liczbach przed miesiącem, że cała Warszawa jest zaledwie połowę tego warta, co według szacunkowej ceny inwentarza jej przedstawia. Wszystkie niemal nieruchomości siedzą, co najmniej, po pierwsze piętro, jeśli nie po sam dach, jeśli nie po kominy, w kieszeniach rozmaitych zbiorowych i pojedynczych, publicznych i prywatnych wierzycieli.

Nie łatwa to tedy sprawa obciążać nowym długiem hypotekę, która i tak zaledwie dźwiga dotychczasowe ciężary. Ja chociaż do kamieniczników z tradycyi lokatora miałem zawsze rozmaite pretensye; w tym wypadku lituję się nad nimi i naprawdę ubolewam nad ich kłopotliwym położeniem.

Z próżnego i Salomon nie należy.

Gdyby jaka instytucja finansowa, albo jaka spółka kapitalistów zechciała podjąć się na własną rękę budowy przykanalików, zabezpieczywszy swoje pretensye na resztkach majątku nieruchomego panów właścicieli domów, możeby to było najłatwiejszym rozwiązaniem sprawy; ale kto dzisiaj chce ryzykować gotówkę na przedsiębiorstwa tak niepewne!...

Będziemy tedy mieli przy dużej kwestyi kanalizacyjnej, nieschodzącej z porządku dziennego, tysiące małych kwestyjek kanalikowych, nad których uregulowaniem łamać sobie muszą głowy kamienicznicy i życzliwi ich doradcy.

— Co ma być, to będzie, i to tak, jak być musi — powiedziałem sobie, przeczytawszy wiadomość, że pomimo wszystkich krzyków, protestów,

zastrzeżeń, deklamacji i dowodzeń w sprawie nietykalności Ogrodu Saskiego, zanosi się nareszcie na amputację z dwóch stron naszego letniego salonu, bo od ulicy Królewskiej i od ulicy hr. Kotzebuego.

Wypada tak z planów p. Lindleya, wypada tak z warunków hr. Zamojskiego, jako właściciela possessyi od ulicy Żabiej i Ogrodu Saskiego, pod którą przechodzić musi kollektor B.: niema zatem rady; co się miało stać, to się stanie. W przyszłym roku, według wszelkiego przewidywania, Ogród Saski zostanie pokrajany, bo *sic fata tu-tere*.

Na pocieszenie emerytów, bon, nianiek, pociech naszych i amatorów świeżego powietrza dodaję, iż w projekcie przeprowadzenia dwóch ulic przez letni salon, niema jeszcze wzmianki o zabudowaniu ich z obu stron domami mieszkalnemi.

Kiedyś może praktyczność podyktuje i te warunki, dzisiaj są one jeszcze poza nawiasem.

Nie mam ochoty zajmować się więcej tą kwestją, w której nic zrobić ani poradzić się nie da.

Kiedy zbraknie świeżego powietrza w środku miasta, będziemy musieli szukać go trochę dalej, będziemy chodzili w Aleje, do Botaniki i do Łazienek.

Skoro wspomniałem o Łazienkach muszę wspomnieć i o jubileuszu statuy Jana III, która, przed stoma laty właśnie dużym kosztem i staraniem Stanisława Augusta d. 14-go Września odsłonioną została.

Tygodnik ilustrowany przypomniał piórem i ołówkiem tę rocznicę w ostatnim swoim numerze, odznaczając zarazem drugą datę pamiątkową, datę śmierci Józefa Korzeniowskiego, który przed dwudziestu pięciu laty dnia 17-go Września 1863 roku umarł w Dreźnie na rękę dzieci i żony, a któremu należało się już oddawna osobne studium krytyczne, jako pisarzowi, tyle dla literatury dramatycznej i powieściowej u nas zaśluzonemu.

Autor „Naszych powieściopisarzy“, Dr Piotr Chmielowski, ma niejako obowiązek uzupełnić swą sumienną pracę o działalności Kraszewskiego, Czajkowskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, Zacharyasiewicza, Jeża i Sienkiewicza, rozbiorem dzieł i bezstronnym rysem biograficznym autora *Żydów i Spekulantów*.

Przechodząc do spraw potocznych z kronikarskiego obowiązku, winienem zanotować pogłoskę o zapowiedzianej w Warszawie wizycie Maurycego Jokay'a.

Głośny powieściopisarz węgierski wybiera się do nas dla studyów; chce poznać bliżej kraj i ludzi, które mu posłużyć mają za tło i za materiał do nowego utworu.

Wogóle interesująco zapowiada się nam sezon jesienny, do którego wstęp stanowi tak piękne i pogodne babie lato, jakiegośmy dawno nie mieli, a które po burzach, słońcach i niegodziwych kaprysach tegorocznej aury wydaje się nam trzykroć piękniejszym. Dostaję kataru na samą myśl o owym pierwszym deszczu, który rozpocznie jesienną u nas szarugę; gdy się skończy ten deser lata, najlepszy z całorocznego menu.

Na długie wieczory obiecują nam przede wszystkim dużo... muzyki. W teatrze opera, należąca u nas do rodzaju sztuki... przeżywającej, ma nareszcie czemś całkiem nowem uraczyć publiczność, p. Rzebiczek zamierza wystawić „Królową Sabę“ Goldmarka, dzieło prawdziwej rzadkości i niepospolitego talentu, które od dziecięciu lat przeszło znajduje się na repertoarze wszystkich większych scen zagranicznych.

W koncertach symfonicznych mamy usłyszeć d'Alberta, którego nazywają już drugim Rubinsteinem, Joachima i Barcewicza, a jako najbardziej sensacyjny numer wszystkich programów obiecują nam wspaniałą dziewiątą symfonią Beethovena, arcydzieło nie słyszane jeszcze nigdy w muzykalnej Warszawie.

Towarzystwo Muzyczne, które pod względem ilości członków rywalizuje jedynie z towarzystwem wioślarskim i wkrótce ich będzie miało cały tyśiąc, ma tyle pięknych zamiarów, takie szerokie nakreśla sobie plany, że mu już zgóry przy-

klaskiwać trzeba, byle tylko między poezją dobrych chęci a prozą wykonania nie było takiej dużej różnicy, jak między wysokim nastrojem projektów na konferencji przedstawicieli prasy i zarządu Towarzystwa a programatem pierwszego większego wieczoru środowego w Salach Redutowych, z udziałem... węgierskiej orkiestry z Doliny Szwajcarskiej.

Ale pierwsze koty za płoty; dyrektor Noskowski jest obrotnym i pomysłowym kierownikiem, a przytem zawiele ma artystycznej natury w sobie, aby na więcej takich „frajd“ muzykalnych z ogródka pozwolił. Działalność Towarzystwa staje się ruchliwą; szkoła śpiewu chóralnego, gry na dętych instrumentach, harmonii, kontrapunktu i dyrygowania orkiestrą, zamiar urządzenia konkursów i wydawania dzieł muzycznych (ma wyjść z druku partytura *Requiem Moniuszki* za fortepianem sreszczeniem u dołu), dalsze starania o fundusz na budowę własnego gmachu,—wypełniają programat działań instytucji, która wyrobiła sobie szeroką popularność u publiczności warszawskiej i przyczynia się do muzycznego jej wykształcenia, zaszczerpiając zamówienie prawdziwsze do muzyki.

Nie pozostaje nic innego, jeno życzyć powodzenia i pomagać do niego.

Nieprawdopodobne kombinacje z muzyką zdarzają się u nas w Warszawie; wiadoma rzecz, że wystawy przemysłowe i specjalne przyciągają publiczność popisami... pianistów i śpiewaków. Obecnie Muzeum pszczelnicze połączone ma być z... organistówką, czyli ze szkołą gry na organach, a to w celach pedagogiczno-praktycznych; chodzi bowiem o to, aby tym biednym miechodmucha i dławidudom po wiejskich kościółkach ułatwić życie i dać im sposób zarobkowania poza artystycznym (!) ich zawodem. Będą tedy mogli uczyć się: „ile to wiatru potrzebuje *Credo*“, jak trzeba preludować przy *Agnus Dei*, a jednocześnie pobierać będą naukę pszczelnictwa, aby obok organów umieli dbać o pasiekę i z wosku i miodu jakitaki grosz odkładali.

Pomysł bardzo dowcipny i trafny, powinienby w wykonaniu udać się zupełnie i zwabić więcej adeptów organistownictwa a zarazem przyczynić się do uszlachetnienia muzyki kościelnej po wszech, która, przez odwieczną pobłażliwość, może być Panu Bogu miła, ale ludziom tak często rozdziera uszy a sklepienia wiejskich kościołów napelnia kakofonią.

Mówi się u nas i pisze często o potrzebie kształcenia smaku w ludzich naszym, ale nie wiele się robi w tym kierunku. Pozwala mu się słuchać okropnej muzyki, podziwiać bohomyzy jar-marczne zamiast ładnych obrazków, patrzeć na strugane kloce zamiast posążków, i t. p.

Zawiązana przed niedawnym czasem u nas Spółka artystyczna, która swój własny „Salon“ otworzyła przy Nowym Świecie, wpadła na dobry pomysł połączenia sztuki z przemysłem i zamierza działać energicznie w kierunku estetycznej reformy pod względem ozdabiania kościołów i mieszkań wiejskich.

W tym celu zakłada w Częstochowie sklep z obrazami świętych i rozmaitemi ozdobami kościelnymi, aby wytworzyć konkurencją częstochowskim fabrykatom, które głównie wychodzą z rąk partaczy.

Drugim dobrym i uznania godnym zamiarem Spółki jest utworzenie przenośnych wystaw na prowincyi; i o tem już się mówiło swego czasu. Mniejsze miasta, oddalone od Warszawy, jako głównego ogniska artystycznego, literackiego, towarzyskiego i społecznego ruchu, pozbawione są łatwiejszej sposobności zapoznawania się z jego objawami i postępem. Pod względem estetycznego kształcenia się tak rzadką mają okazją i tak ograniczone środki. Można by zdrzewnić, zatyć lub zasuszyć się na prowincjonalnem zaświeciu, słuchając tylko o tem, co się tam w tej Warszawie i poza nią robi. Człowiek musi bezpośrednio wrazeniami odżywiać umysł i rozbudzać duchową energią w każdym kierunku, a zwłaszcza w kierunku estetycznym.

Ciesz się zatem, prowincyo, będziesz miała także swoje artystyczne „Salony“ i znajdziesz spo-

sobność poznawania nietylko ze słybcu dzieł uaszych Apellesów i Fidyaszów; będziesz miała na co patrzeć, o czemś szlachetniejszym rozprawić, czemś lepszym się zajmować; a może ci przyjdzie też ochota zakupywać ładne obrazki, zamiast oleodruków i zakładać prywatne galerie.

Tylko możecie wy tam, na waszym bruku, ciekawsi tego, czy pani aptekarzowa się naprawdę maluje, a panny mecenasówny poprawiają kształty swoje wcale nie marmurowemi przydatkami, aniżeli jak malują i co rzeźbią nasi artyści?...

Odpowie nam na to Spółka wykazem liczb dochodu po pierwszym roku urzędowania przenośnych wystaw po prowincyi.

Proszę was, nie dajcie się zawstydzić i zajmijcie się sztuką, która jest czemś więcej, niż aptekarzową lub mecenasówną, bo przecież jest... córą bogów.

Quis.

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

FR. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

W tej chwili na owej ścieżynie, która do młyna prowadziła, pomiędzy gałązkami drzew pokazała się wyniosła postać jeszcze dość silnego i krzepkiego starca, który z głową odkrytą postępował, a przodem biegł Burek i szczekał. Głowa starca była już dobrze lysa, ale wokół spadały długie siwe włosy na ramiona; brodę miał siwą i długą. Szedł powoli, przypatrując się jeźdźcom.

Staruszka dojrzała go pierwsza i zatrzymała się.

— Otóż i Dobrynia idzie — rzekła, na ścieżkę spojrzawszy.

Wyszatycz i Czudyn zwrócili się w tę stronę. Starzec ów, zbliżywszy się nieco, pokłonił się do pasa z pewną udaną pokorą.

— Do ciebie, Dobrynio, w gościnę przyjechałiśmy — rzekł Czudyn.

Zsiedli obaj z koni i, trzymając je za uzdy, postępowali ku starcowi. Dobrynia kłaniał się idąc i na przybyłych spoglądając.

— Wiele cześci, wiele dla ubożego samotnika. Pewnie macie coś ważniejszego na myśli, niż gościnę?

Wszyscy trzej zatrzymali się chwilę i rozmawiali stojąc.

— Do izby was, bojarowie, nie proszę, tam ciasno... Zresztą, po co się w dusznej izbie tłoczyć, kiedy mamy taką piękną i wielką izbę! — Dobrynia powiódł ręką dokoła lasu, pokazując tę izbę, której nakryciem było szafrowe niebo na wschodzie połyskujące jeszcze jak złoto przyćmioną barwą.

Potem dodał:

— Chodźmy do młyna, tam można do łotoków konie przywiązać i pogadamy.

Poszli wszyscy trzej. Dobrynia przodem, a za nim w pojedynkę Wyszatycz i Czudyn, prowadząc konie.

Przyszli do łotoków.

— Ot, widzicie, co tu miejsca, jaka tu izba obszerna — mówił Dobrynia. Przywiązali konie.

Czudyn rękę na ramię Dobryni położył.

— No, i jakże stary? Cóż ty na to wszystko powiesz?

Był to początek taki, jakby w samej rzeczy Dobrynia o wszystkim wiedział. Ozarodziej spojrział na przybyłych, potem po drzewach powiódł oczyma i znowu na przybyłych wzrok zatrzymał.

— Cóż ja mogę wiedzieć? — odrzekł, chytrósć pokrywając obojętnością. — Wy zasiadacie w rodzimie kniazia; wy wiecie, z kim on je, z kim pije, kto mu przyjacieli, a kto wróg—a ja, co! Ot, czasem mi szumiące liście, woda, co przez lotki po myka, gwiazdy, co na nas patrzą, coś powiedzą... Od ludzi nie wiem.

Czudyn niecierpliwł się.

— Zkąd ty wiesz, to wiesz: to twoja rzecz; a co wiesz to gadaj: po tośmy przyjechali. Wszesławowi przecież odgadłeś...

— Wszesławowi?... prawda, odgadłem...

Dobrynia zamyslił się.

— Powiedźcie-no mi, bojarowie, jak sobie poradzi kniaz z tym—i ręką na Krasny Dwór pokazał.

Czudyn zezem na czarodzieja spojrział.

— Złe — rzekł niby do siebie — lud do niego lgnie, jakby był miodem smarowany...

— I pewnie... — Dobrynia na to; gładził brodę, myślał, a po chwili dodał:

— Lgnie do niego lud, lgną i dziewczki, ale na złe mu to wszystko wyjdzie...

Spojrział na Wyszatycza.

Wyszatyczowi nie podobała się ta zaczepka Dobryni, domyślił się, że czarodziej wie o wszystkim; chciałby go o coś pytać, a nie śmiał—wstydu mu było.

— No, i jakże, Dobrynio? — naglił Czudyn.

Dobrynia gładził brodę—niby się namyślał.

— Jako—jak? Lachów trzeba napędzić—i koniec; zkąd przyszedli, niech tam i wracają. Póki jest ten królik z Krasnego Dworu i jego družyna, Izasław pieni się z gniewu, bo niby jest kniazem, a nie jest; jak napędzi Lachów, to się opamięta.

Czudynowi podobała się mowa czarodzieja.

— Tak... tak... dobrze mówisz, Dobrynio!

Potem zwrócił się do Wyszatycza.

— Widzisz, i Dobrynia to samo mówi...

Wyszatycz milczał.

Dobrynia uśmiechnął się zadowolony, na sercu mu legła pochwała bojaruna: więc dalej sam się chwalił.

— Stary odgadnie wszystko — mówił — bo widzi tam, gdzie wy nic nie widzicie.

Odpowiedź była jak raz wodą na młyn Czudyna.

— Kiedy tak daleko widzisz, stary, powiedz—że nam jeszcze, jak się Lachów pozbyć?

— To rzecz wasza... u was na to dumna rada i wielka družyna... macie za sobą siłę...

— No, a jakbyś ty zrobił, Dobrynio? — dopytywał się Czudyn.

Dobrynia nie dawał odpowiedzi stanowczej.

— Jabym sobie poradził — mówił niby sam do siebie — Póki Dniepr płynie... póki są kamienie... póki jest lylko lipowe...—nie dokończył, bał się może.

Czudyn z tych półsłówki odgadł resztę; odwrócił się tedy do Wyszatycza i kiwnął głową znacząco, a potem nachylił się do ucha Dobryni i półgłosem, niby tajemniczo, rzekł:

— Dobra rada! Miłościwy kniaz obdaruje ciebie za taką radę sobolą szubą i kaftanem bojariskim.

— Jego w tem wola, a na mój rozum tak, jak mówiłem, i robić trzeba.

Dobrą chwilę trwało milczenie.

Wtem Dobrynia podniósł oczy i spojrział na zamysłonego Wyszatycza.

— No, a wasza miłość co myśli?

Zagadnięty nagle Wyszatycz nie wiedział co odpowiedzieć.

— Et — rzekł niby od niechcienia — kniaz ma z Lachami biedę, ale i ja od nich wesela nie mam.

— Pewnie, że nie — rzekł Dobrynia, jakby wiedział o wszystkim. — Zabrał ci synogarlicę... he?

Wyszatycz nachmurzył się z gniewu i oburzenia.

— Zabrał... niech trzyma... napędzi potem.

Dobrynia począł kiwać głową i na Wyszatycza patrzył.

— Cóż ci po niej, jak król napędzi? Trzeba, abys ją teraz z pazurów jego wyrwał... Po co

się ma poniewierać po teremach królewskich krew wojewody?

— I ja mówię, że wyrwać trzeba — rzekł Czudyn — na siłę jest siła.

Obaj budzili go do zemsty.

Wyszatycz skinieniem głowy wątpliwość wyraził.

— Strzeże je!—ty i ja nie odbierzemy. Kniaz i za siebie upomnieć się nie umie, a cóż dopiero za krzywdy nasze?

— Hej!—wołał groźnie Czudyn—boi się kniaz, to prawda, sprowadził Lachów na swoją biedę; ma teraz, ale nie taki znowu dyabeł straszny! — Prawda, Dobrynio?

Czudyn zerknął znacząco ku Dobryni.

— Nie widziałem go: nie wiem — odrzekł pokornie czarodziej.

Bojaryn nie przestawał żartować.

— Oddawna nie widziałeś? Mówią, że co Czwartek jeździsz do nich na Łysą Górę na wieczerczę?

Dobrynia rad był mu przerwać; niepewnym okiem powiódł po przybyłych.

— Dobrze wam śmiać się, bojarowie — rzekł do Czudyna—a ot, Tysiackiemu z Berestowa pewnie nie do śmiechu.

Wyszatycz, ugodzony w samo serce, powstrzymać się nie mógł.

— Dobrynio! nie żal mi dziewczki! Kochać kogo chce, to jej wola, ale boli serce patrzeć na Lachów i milczeć! Czy to jedna Luda w ich ramionach siedzi? A wyrwać ich ztamtąd, choćby kleszczami, nie można...

Dobrynia niby się zamyslił.

— A ja powiem waszej miłości, że jest sposob...

Wyszatyczowi oczy błysnęły. Wiedział, że Luda nie kochała go, że dobrowolnie rzuciła się w ramiona króla laskiego; a jednak myśl, że ją z tych ramion i uścisków królewskich wyrwać może, budziła się w nim zazdrością. Nie posiadał jej serca, a mimo to wszystko-by poświęcił, aby ją oderwać od ukochanego. On niewierną kochał miłością pełną burz i zazdrości—kochał, i nie mógł wykorzenić tej miłości z serca. Z nadzieją Dobryni uśmiechało się do niego, nie spokojne szczęście, ale nasycona zemsta, uspokojona zazdrość.

— Jaki? — spytał gorączkowo.

— Jaki? to moja sprawa... Żal mi cię, młody bojarynie... dostanę twoją synogarlicę choćby z piekieł... dobędę... napędzi ją król od siebie... ale za moją wolą. Dajcie mi tylko trochę czasu... niech pomyślę.

— No, a z Lachami? — zagadnął Czudyn.

— Z Lachami róbcie, jak mówię... cichutko... wyłowicie ich, jak odyńców w zasadzkę. Jeśli się wam to uda, Izasław zostanie w Kijowie, a jeśli nie, to tak będzie kniazyl nad Polanami, jak i ja!

— Mówisz gładko—obaczmy później czy mądrze — zauważył Czudyn. — Jak będę wracać z Berestowa, wstąpię do ciebie, Dobrynio... i może przyślę gości na naradę. A teraz bądź zdrów!

— Jedźcie z Bogiem, bojarowie...

— Jedźmy — rzekł Wyszatycz, poglądając po niebie. Widzisz, bojarynie, jak słonko do góry podeszło? Trzeba śpieszyć.

Poczęli odwiązywać konie, potem pokulbaczyli nanowo; podciągnęli poprzęgi, pożegnali Dobrynię i takążsamą wążką drożyną pojechali pod stromą górę. W półgodziny potem, kiedy już na górę dobrze podjechali, migał im naprawo między drzewami Sokoli-róg, mgłą poranku osłonięty, potem daleko połyskiwała pomiędzy łoży i oczerezy Łybed', aż nareszcie zaświecił krzyż monasteru na Berestowie.

swoją stronę przeciągnąć Wyszatycza, który, nie podejrzewając zasadzki, niedomyślając się, że Czudyn pragnie go wyzyskać na swoją korzyść i rozmyślnie zemstę rozpala, płał się jak zwierzę w zastawione na niego sieci. Zdawałoby się napozór, że obaj byli jednej myśli i jednej duszy, działo się inaczej: jednego popychało do zbrodni służalstwo i buta, drugiego—tajony ból własny i zazdrość. Obu im śpieszno było do czynu. Wyszatycz pragnął tylko wybadać usposobienie kniazia, a do tego dobra nadarzyła się sposobność, gdyż Izasław wezwał go do siebie, celem naradzenia się: jak najskuteczniej odeprzeć Połowców, którzy obchodzili Kijów i znowu od Łybedi napadali na sady i ogrody Kijowianów; przeprawiali się na łodziach koło Nowodnickiej Przystani i jarem, brzegami Łybedi dochodzili aż pod miasto. Czudyn pojechał przodem i zdołał już o usposobieniu Wyszatycza uprzedzić kniazia. W parę dni po nim wybrał się Wyszatycz do Kijowa.

Kiedy Tysiacki z Berestowa przybył na Kniaży Dwór, Izasław przywitał go wesolem obliczem.

— Cóż, bojarowie? Nie masz rati dosyć? Przemykają się koło ciebie Połowcy... a mnie tu Kijowanie spokoju nie dają!

Wyszatycz ręką machnął.

— Et, miłościwy kniaze, czy to wszystkim krzykom wierzyć? Przeprowadzają się Połowcy nie dla wojny, ale dla rabunku, dla swawoli... po dzieścię, dwadzieścia koni: czyż z nimi mamy wojować? Pokażą się, pokrzyczą i w stepy uciekną, gdzie ich tam gonić, gdzie szukać?

— Dobrze mówisz, bojarynie... Po chwili dodał.—Sam widzisz, a przecież, lud krzyczy, że go nikt nie broni!

Wyszatycz stał zamysłony—wreszcie głos zabrał.

— Miłościwy kniaze! masz ty przyjaciół pod bokiem gorszych, niż ci wrogowie Połowcy...

Izasław odrzekł gniewnie:

— Tacy oni przyjaciele, jak i twoi! Już mi dosyć tych zabaw i piasów i polowań... trzeba się od nich odzepić! No, ale kiedy przyszło do słowa o Lachach — dodał po chwili — mów, ty blisko nich siedzisz, co tam słyhać?

— Nie wielebym miał dobrego powiedzieć tobie, miłościwy kniaze. Siedzą, jak u Boga — za piecem, piją, jedzą i biesiadują z twoimi posadnikami, wojewodami i ludem...

Izasław nachmurzył brwi i wzrok ku ziemi spuścił. Wyszatycz, jakby nie dostrzegając tego zamyslenia kniazia, ciągnął dalej:

— Ot, jak nie widać na Sokoli-róg, na łąbędzie z sokołami pojedają... będzie tam cała starszyzna laska z družyny i ten królik także.

Wszedł Czudyn i do pasa uklonił się kniazowi.

Izasław mowę do niego zwrócił.

— Słyszysz—rzekł—mówi Wyszatycz, że tam i ręką wskazał w kierunku Krasnego Dworu—wojewodowie i posadnicy moi piją u Lachów i radzą...

Czudyn znowu pokłonił się kniazowi.

— Nie skrywałem tego i ja przed tobą, miłościwy kniaze; mówiłem, że nie dobre rady radzą na Krasnym Dworze. Przebacz mi, miłościwy kniaze—tu Czudyn znowu pochylił się do pasa — ale kiedy tu jest Tysiacki z Berestowa, to ci całą prawdę powiem, niech on potwierdzi: u laskiego króla większy dwór, niż u ciebie... do ciebie na ucztę ludzi zapraszają, a tam codzień uczta, a kto przyjdzie, ten gościem...

Izasław gładził wąsy i brodę a sapał; twarz malowała mu się krwią, a oczy błyszczały i migotały, jak u rozszalałego tygrysa.

Wyszatycz podbił mu bębenka.

— Nie godzi się nic skrywać przed tobą. Czudyn zaledwie kilka razy widział to, co ja widuję codzień.

Izasław zamyslił się. Posępny wzrok spuścił ku ziemi.

— Kocham druhów — rzekł po chwili — ale z nieprzyjaciółmi dawałem sobie zawsze radę... przepijać do nich miodu i wina nie będę...

Podniósłszy głowę, bystrym okiem rzucił na Wyszatycza.

VII.

Myśliwi na ludzie i na sokoły.

Niedługo obaj, Czudyn i Wyszatycz, zabawili na Berestowie. Czudyn zdołał coraz więcej na

— Mówisz, że pojedą na Sokoli-róg z sokołami... Niech jadą! niech jadą! — wołał groźnie — będzie to może ostatnie lackie polowanie na ruskiej ziemi!

Widać, że gniew nim miotał niezmierny; długo siedział schylony, milczący i zadumany, potem powstał i zaczął przechadzać się po izbie; twarz mu, jakby ogniem, płonęła.

— Sławsz mnie drogę do stolicy ojcowskiej, a teraz sobie ściele—niedoczekanie!

Nagle podniósł głowę do góry i z pewną stanowczością spojrzął w oczy stojącemu Wyszatyczowi.

— Bojaryni! czy jesteś druhem moim?

Wyszatycz pokłonił się.

— Miłościwy kniaź! dziad mój i ojciec byli druhami kniaźów i służyli wiernie matce—Rusi... Kniaź mowę mu przerwał.

— Dobrze... podziękuję ci...—mówił nieco uspokojony — wracaj więc do domu... uważaj pilnie... ty jesteś najbliższy tego gniazda os, które się rozmnożyło w naszym domu. Prześlę do ciebie posłów na radę.

Dwuznaczną tę mowę zrozumiał Wyszatycz.

— Chcę, miłościwy kniaź, abyś miał spokój na Rusi i miłość swego ludu—odrzekł—będę twoim sługą wiernym, bo widzę, że idzie nie ku dobru.

Wkrótce odjechał Wyszatycz. Kniaź pozostał sam na sam z Czudynem.

— Ten ci będzie pomagać szczerze, miłościwy kniaź—zauważył bojaryn.

— Dopóki go Bolesław nie kupi.

— Nie spręda się...—Ludę mu zabrał.

— Prawda—rzekł, uśmiechnąwszy się — gdzie dyabeł nie może tam babę posłać! Ale czyż jeszcze o niej nie zapomniał? Posyłał przecież swaty—i odesłała go z niczem.

— Odesłała i nie odesłała... stary kazał mu jeszcze czekać, bo dziewczyna młoda... Czekaj Wyszatycz i doczekał się, że mu król dziewczkę przed nosa zabrał! Teraz i rad-by ją wyrwać, ale niema siły. Już się czarodzieja radził...

— Dobryni? — przerwał kniaź.

— Dobryni... Obiecuje mu odmówić dziewczynę...

Zapanowało milczenie.

— Łże! — rzekł dobitnie Izasław. Ale niech próbuje...

Znowu się zamyślił.

— Wyszatycz potrzebny... — zauważył z namysłem.—Trzeba go do siebie przywiązać... Szubą i słowem, choćby miodem smarowaniem, jego nie przynęć, nie przywiązać; ale można znaleźć inny sposób...

Kniaź zamyślił się znowu, jakby tego sposobu szukał.

— Gdzie Dobromira? — spytał nagle — to przecież mamka Ludy — ona najbliższej stoi dziewczyny.

— Dobromira na Krasnym Dworze.

— Tem lepiej... trzeba ją ugłaskać: niech Ludę do Wyszatycza skieruje; będzie to najlepszy sposób zjednania go dla siebie... A tymczasem próbujmy inaczej.

Po tej rozmowie Izasław kazał przywołać grydnia.

— Wyszukasz Sławoszę—rzekł—i każesz mu na wielki dwór przyjechać.

Czudyn wyszedł, a kniaź sam siedział w grydnicy. Siedział w końcu stoła na ławie i z dzbaną stojącą na stole raz poraz dolewał do czasy miodu i piła. Niekiedy powstawał z siedzenia, chodził po izbie, coś mruczał, groził, targał własne wąsy i brodę—potem zbliżał się do stołu i drżącą ręką znowu miodu do czasy dolewał. Po długim oczekiwaniu skrzypnęły drzwi kniaziowskiej grydnicy i posłany otrok ukazał się na progu. Izasław spojrzął na niego nachmurzonym wzrokiem.

— I cóż? — zapytał.

— Jest Sławosza, miłościwy kniaźe...

— Niech tu przyjdzie.

Po chwili wsunęła się lekko jakaś postać do grydnicy. Na chudej poślówce i pomarszczonej twarzy był nieregularny zarost; płowe rzadkie wąsy i takasama broda, na której kępami porastały

włosy. Czoło miał wąskie, ale para bystrych piwnych oczu osadzona w nich nadawała całej fizioonomii wyraz ruchliwości. Na sobie miał spłowiał zielony kaftan, czerwonym jedwabnym pasem ujęty; w prawej ręce trzymał kołpak, a lewą zlekka za pas założył. Postawa nie miała wyrazu uległości i służalstwa: przeciwnie, widać było, że to człowiek potrzebny i sam umie to ocenić.

Izasław długo nie podnosił głowy na niego, wzrok zatopił w czaszę—i milczał zamyślony.

— To ty Sławosza? — spytał, jakby od niechcenia, podnosząc głowę, i utkwiał w stojącym bystre spojrzenie.

Był to Sławosza.

Na pytanie kniazia Sławosza nic nie odpowiedział, ale rękę zza pasa wyjął i kołpakiem trzymanym w ręku pokłonił się Izasławowi.

— Potrzebna mi twoja wierna służba—mówił kniaź powoli i na Sławoszę patrzył.

Sławosza uklonił się na znak zgody, a Izasław ciągnął dalej:

— Niedługo król lacki ma pojechać na polowanie na Sokoli-róg...—rozumiesz? Trzeba, żebyś się z nim obaczył...—rozumiesz?

Sławosza kłaniał się tylko w milczeniu. Izasław zamyślił się chwilę, pochylony nad stołem.

— Zresztą—to twoja rzecz — znowu począł. — Czy obaczysz się z nim na polowaniu, czy w domu—mnie wszystko jedno... Ty wiesz przecie, że ja sług wiernych nie zapominam.

Sławosza znowu pokłonił się.

— Zobaczysz się z Czudynem...

Sławosza milczał i tylko głową na każdy rozkaz kniazia, na znak zgody, potakiwał.

Izasław siedział na dębowym siedzeniu z poręczami, nogi przed siebie wyciągnął i dumał o czemś; przed nim stał z kołpakiem w ręku Sławosza i z nogi na nogę przestępował. Kniaź spojrzenie podniósł.

— Ty znasz Ludę?

— Znam...

— Ona na Krasnym Dworze.

— Na Krasnym Dworze...

Znowu zapanowało milczenie. Sławosza patrzył na kniazia pytającym spojrzeniem. Odgadł, że kniaź, oprócz danego mu polecenia, ma jeszcze jakieś żądanie, którego nie wypowiedział:

Izasław brwi ściągnął, w ziemię patrzył i po namyśle mówił dalej:

— Luda nie siedzi tam pewnie z dobrej woli... gwałtem musiał ją ten babiarczy porwać... trzeba więc, ażebyś i ty ją gwałtem od niego wyrwał... słyszysz?

— Słyszę, miłościwy kniaźe.

O usposobieniu Wyszatycza dla Bolesława Izasław wiedział i postanowił na swoją korzyść to usposobienie wyzyskać a do tego najłatwiejszą drogą zdawało mu się połączenie jego z Ludą. Gdyby to się udało —między Wyszatyczem a królem zdołał-by wykopać przepaść, a Tysiackiego przywiązać do siebie. Następstwa tego kroku były bardzo ważne: nie też dziwnego, że Izasław nie zadowolnił się wyzyskaniem wpływu Dobromiry na Ludę, a może i wierzył, że z tego nie będzie: polecił więc Sławoszy porwać Ludę przy zdarzonej sposobności. Obydwa plany można było wykonywać jednocześnie, a w ten sposób zyskiwało się większe prawdopodobieństwo powodzenia.

Sławosza w milczeniu wysłuchał Izasława, a gdy skończył, ani słówka nie odpowiedziawszy, pokłonił się i wyszedł.

Na dziedzińcu spotkał się z Czudynem.

— I cóż? — spytał bojaryn.

— Mówił kniaź, że król lacki wkrótce na Sokoli-róg pojedzie... ale ja... nie pojedę — odrzekł Sławosza.

Czudyn zmierzył go badawczym wzrokiem.

— Będzie wracał przez Debry — rzekł, podsuwając nową myśl Sławoszy.

Sławosza znał się na poleceniach kniazia.

— Będzie, ale będą tam także i Bolech i Wsebor i cała gromada Drużniców i nasz Warażko przyczepi się—a mnie oni wszyscy na jakiego biesa?

O planie względem Ludy na razie nie wspominał nawet, uważając go za robotę podrzędną.

Idąc ku furcie, rozmawiali cicho; a zdaleka widział każdy, że rozstali się w przyjaźni, bo kłaniali się sobie kołpakami do ziemi jakby dwaj równi. Niewiadomo na czem stanęła narada, dość, że na drugi dzień po niej, jakby w wodę wpadli—żadnego z nich na Kniazym Końcu, ani na Wielkim Dworze, widać nie było.

Bądźco bądź Izasławowi nie smakowało bratanie się Bolesława z Rusią, patrzył na to wszystko z niedowierzaniem i bojaźnią, wrastającą ledwie nie codzień. Pod pozorem, że Połowcy znowu poczuli uwijać się koło miasta, obsadził bramy miejskie i przesła ratią zaciężną, a drużynę zgromadził na Wielkim Dworze. W mieście podwojono czujność i strażę nocne. Równo z zachodem słońca już nie wpuszczano, ani wypuszczano z miasta nikogo. Taki był rozkaz kniazia.

Pomimo zakazu i czujności, późną nocą, kiedy już wszystkie światła pogasły, tylko na basztach przęsłowych blado migotały żerniki, do lackiej bramy zaczęło kołatać dwóch jeźdźców. Jednego z nich poznano: był to koniuch Izasławów, drugi miał na sobie misiurkę, hełm, który mu głęboko spadał na twarz, zasłoniętą także drucianą koszulką.

— Bez umyślnego rozkazu kniazia nie wolno puszczać — rzekł strażnik.

— Pokaż znak! — odezwał się jeździec w hełmie i misiurce do towarzysza.

Na dźwięk tego głosu strażnik począł pilnie przypatrywać się owemu jeźdźcowi, jakby głos ten był mu znany. Tymczasem koniuch znak pokazał. Po chwili otworzyła się szeroko brama: obaj jeźdźcy przejechawszy przez nią, skręcili ku Padołowi.

Kiedy już bramę zamknięto, a strażnicy znaleźli się na baszcie, pierwszy zapytał:

— A co to za jedni? Mają pozwolenie od kniazia na wszystkie bramy i o każdym czasie.

Drugi zamyślił się i obejrzawszy się po izbie, jakby się obawiał, czy w niej kogo więcej niema, rzekł:

— Po głosie poznałem Sławoszę...

— Sławoszę?... Hm... dobrze się zakrył...

— Dobrze... ale nie na dobre!

— Jest w tem coś nieczystego,

— Tfu! na tego rozbójnika! Niech jedzie na złamanie karku: jemu się to już dawno należy.

Był to w istocie Sławosza, strażnicy nie pomylili się: jechał na Berestowo.

Świt już był, kiedy obaj jeźdźcy, dojechawszy do Berestowa, zaczęli stukać do bramy choromów Wyszatycza. Zdaleka dolatywał szum jakis—niby szczęk broni, tentent kopyt, rzenie koni, skomlenie psów. Nasłuchiwali obaj. W tem otworzyła się brama i wjechali na dziedzińiec. Zaledwie otrokowie zabrali konie, kiedy się ukazała na runduku Wyszatycz. Wrzawa nie ustawała.

— Czołem, panie Tysiacki...

Wyszatycz przyjaźnie głową ku przybyłym skinął.

— Wejdźcie łaskawie i chlebem a solą nie pogardźcie.

Chwilę wszyscy zatrzymali się na runduku.

— A cóż to u waszej miłości tak głośno na Berestowie?—spytał Sławosza. Mimowolnie nasłuchiwali wszyscy.

— U nas wesoło—odrzekł z tajonym gniewem Wyszatycz. — To nasi goście z Krasnego Dworu na łowy jadą.

— Jadą? niech jadą... na zdrowie im! Niech się bawią wesoło —mówił złośliwie, uśmiechając się Sławosza.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 1 Września 1888 r.

Kozruchy.—Nowa broszura. — Śmierć anarchisty Eudès'a—Jego życie.—Pani Suzini.—Boulangier; dalszy jego pochod.—Potrójne wybory.—Podróż za granicę.—Teatr. (Sen Dantona) nowa sztuka Klodowensa Hugues. — Upadek i sława.—Zola i Daudet.—Zacni przyjaciele.—Pani Adam i jej nowa książka filozoficzna „Un rêve sur le divin”. — Trzeci tom „Życia Wiktora Hugo” przez Lud. Ulbacha — Kwestya miłości. — Wystąpienie Ernesta Renana.

Mieliśmy tutaj zaburzenia uliczne na tle bezrobocia. Wiecie o nich z gazet politycznych: opowiadać ich tu nie będę. Właśnie w tym czasie ukazała się doskonała broszurka p. Juliana Weilera, inżyniera w dyrekcji kopalni węgla w Mariémont i Bateaux w Belgii, mająca związek przez treść swoją z zaburzeniami, szczęśliwie już przebytymi. Akademia nauk moralnych w Paryżu zaszczyliła ją wielką a zasłużoną pochwałą wygłoszoną przez p. Fryderyka Passy. Broszura ma tytuł: *Duch instytucji robotniczej w Mariémont*, (*l'Esprit des institutions ouvrières de Mariémont*). Treściwie a jasno autor wyłożył w niej działalność rozmaitych instytucji mających na celu dobroczynność, opatrzenie starości, higienę, ulepszenie warunków pracy, wykształcenie umysłowe, etyczne i ekonomiczne—i nakoniec: polubowne porozumiewanie się we wszelkich zajęciach, jakie się zdarzyć mogą pomiędzy dającymi pracę i zapewnijacymi jej zarobek, czyli robotnikami i przemysłowcami.

Dzięki urządzeniom opisanym w broszurze kopalnie w Mariémont cieszą się wyłączną i prawie wyjątkową pomyślnością. Kwitnie między pracodawcami a właścicielami i zarządem zgoda najzupełniejsza, lud zaś robotniczy odznacza się dobrobytem, inteligencją i moralnością, godną uznania które napełniają umysł pocieszającą otuchą, że przecież kiedyś bez wstrząśnięć znajdując się, choćby w granicach najniezbędniejszych potrzeb społecznych, rozwiązanie tej nieszczęsnej kwestyi pracy.

Po miesięcznej zawierusze i ciąganiach sławne bezrobocie można tu uważać za skończone. Kulminacyjnym punktem całej ruchawki robotniczej była na początku nagła śmierć, i to na mównicy klubowej w sali Favié—słynnego „generała“ (!) Eudès'a, a drugim, końcowym nawiasem, ustąpienie ze sceny socjalki, p. Suzini, słynnej redaktorki dziennika *Le Cri du Peuple*, przyjaciółki Vallèsa.

Zmarły gwałtowną śmiercią przewodzca anarchistów Emil Eudès jest osobistością godną poznania, choćby po śmierci. Była to jedna z krwawych, złowieszczych postaci Komuny Paryżkiej. Urodzony w małej mieścinie w Departamencie „De la Manche” w 1844 r., z ubogich rodziców, przybył do Paryża, gdzie się sposobił na farmaceutę, a skończył jako najzuchwalszy anarchista swego czasu.

Porzuciwszy laboratorium, ocknął się jako główny redaktor dziennika: *La libre pensée*, ale wkrótce poszedł na trzy lata do więzienia za obrazę moralności i religii.

Dnia 15-go Sierpnia 1870 roku on-to prowadził tę awanturniczą bandę, która na Bulwarze de la Villette bez żadnej zaczepki napadła na posterunek straży ogniowej. Jeden z napastników kulą z pistoletu położył trupem sztyldwacha, a drugi również zabił nadbiegającego policjanta; poczem raniono jeszcze ciężko trzech ludzi z oddziału straży ogniowej, zniszczono zaś i pogruchotano wszystko w posterunku. Zabrawszy kilka karabinów, spiskowi rozproszyli się w rozmaite strony. Tegosamego wieczora i nazajutrz rano schwytano wszystkich prawie winowajców i odesłano przed sąd wojskowy. Wojna 1870—1871. już wrzała na granicy niemieckiej. Rewolucya 4-go Września otwarła spiskowym wrota więzienia.

Przewodzca Eudès, zaraz po wypuszczeniu, mianowany komendantem 138 batalionu gwardyi narodowej, dowodził nim we wszystkich zaburzeniach wewnętrznych Paryża w czasie oblężenia;

podczas Komuny zamianował się sam, i to bezwzględnie, „generałem“ i ministrem wojny, na tym urzędzie rozgospodarował się w pałacu Legii Honorowej, gdzie żona jego szczerą ręką rozlewała dokola, doskonale Xeres i Frontignan, wszystkim opojom Komuny. Ma się rozumieć, że wina pochodziły z piwnic ostatniego kanclerza Legii Honorowej.

Jako członek komitetu „du Salut Public“ urządził Eudès wraz z Delecluzem i Spółką pożary gmachów paryżkich, a zemknawszy wcześniej do Szwajcaryi, wrócił spokojnie po amnestyi do Paryża, gdzie, wybrany na członka rady miejskiej, politykował czynnie do ostatniej chwili. D. 5 Sierpnia, rezydując na zebraniu w Sali Favié, z powodu rozpoczętego bezrobocia, gdy wszedł na mównicę i zabrał głos, aby piorunować swoim zwyczajem przeciw kapitałowi i bogaczom, nagle pochylił się naprzód, wyjąknął jeszcze kilka słów niezrozumiałych, padł twarzą na stół, który stał przed nim—i już nie żył.

Epilog tego tragicznego początku bezrobocia, należy do kobiety redaktorki dziennika *Le cri du Peuple*, dawnej przyjaciółki Vallèsa, dziś żony doktora Suziniego z Marsylii. Sławna ta pani, zniechęcona rozprężeniem i prywatą, jakie zapanowały dziś w obozie, którego ongi była ona wielkim chorążym, zmuszoną została rozstać się ze swym dziennikiem, który przechodzi obecnie w ręce Vaillant'a, Grangera i t. d.

W artykule pożegnalnym wyraziła całe swe zwątpienie o stronnictwie socjalistycznym i jego przyszłości.

„Chciałam—pisze—i spodziewałam się właśnie, że słaba przez się, jako kobieta, zdołam rozbroić nienawiści, że uczynię łatwiejszą abdykacyą dawnych niechęci... usunięcie miłości własnych!

„Takie miałam nadzieje, ale srogo za nie ukaraną zostałam.

„Stało się to kosztem mojego marzenia o braterstwie, a przewódzcy, których widokom przeskadzałam, zbudzili mię w dość twardy sposób ze snu.“

Szkoda, że pani ta zbyt długo spała i marzyła! Była ona przecież postawiona na takim miejscu, z kądem widać było jasno i czysto, co się dzieje naokoło. Jeśli ta pani miała zamknięte swe piękne oczy, stało się to z jej własnej woli i winy; boć przecież wiadomo całemu światu, że pierwszy jej bohater i ideał na tej drodze, ów rozczochrany i zaniedbany Vallès — był wieloim szatanem osobistej dumy i zarozumiałości.

Boulangier jest ciągle jeszcze na porządku dziennym, nietylko jako niezmienny kandydat poselski, we wszelkiej nowej elekcji, ale i jako osobistość, której każde poruszenie, każdy krok, jest przedmiotem ciekawości publicznej i śledztwa najbardziej szczywanich reporterów—słowem: jak dobrze się wyraził jeden z poważnych organów prasy: „Potrzeba mówić o nim co rano, myśleć co wieczór, i śnić co noc!“

Oto mamy rezultat trzech ostatnich wyborów 19 Sierpnia, w departamentach Charente-Inférieure, Nord, i Somme. W każdym z nich generał przeszedł ogromną większością głosów—pomimo wpływów wszelkiego rodzaju. Jest więc nanowo posłem i ma do wyboru trzy miejsca w parlamencie. Dnia 19 b. m., zebrał z ogłupionych tłumów do 300.000 głosów, które, dodane do poprzednich, dają mu już wcale pokazną liczbę.

Jak już dawniej mówiłem, nazwisko, osobistość generała Boulanger'a, jest tylko pozorem do zamanifestowania tej opinii, że kraj wrzeko-mo znudzony i zniechęcony, postanowił wyjść z ciasnej koleji, w którą go wepchnęli ludzie, szukający bardziej zaspokojenia osobistych interesów i mrzonek, niżeli dobra i pomyślności ogółu. Na takim domniemanem zniechęceniu się narodu, oparł wicherzyciel cały swój programat, jak się wyraził w liście pisanym kilka dni temu do jednego z posłów przychylnych jego widokom...

...„Sprawa toczy się, nie pomiędzy republikanami a anarchistami, ale pomiędzy tymi, którzy eksploatają, i tymi, których eksploatają. Ty wiesz, po której ja stoję stronie w tej wielkiej bitwie...“

„Ja żądam, aby dopuszczono do głosu lud, (!) i aby kraj był wyzwolony z pod tyranii politykujących szalbierzy, którzy go zbyt już długo uciskają, dyskredytują i zarażają gangreną!“ Są to wszystkie frazesy—bardzo łatwe do napisania.

Przy znanem od wieków usposobieniu tutejszego ludu, który, zniechęcony raz jeden, nie zatrzymuje się nigdy na tej drodze opozycyi i dąży gwałtem do nowego celu—do wywrotu — łatwo byłoby przewidzieć dzisiaj, na czym się do wszystko skończy, gdyby ruch balanżerowski posiadał rzeczywistą, własną swoją siłę.

W tej chwili, jak głoszą agenci ex-generała *urbi et orbi*—przyszły zbawca Francyi ma być w drodze do Sztokholmu, czy też do Chrystianii. Są już i wszystkowiedze, którzy widzieli go na drodze do Friedrichsruhel... inni znowu—do Petersburga, —a najlepiej poinformowani są ci, którzy nie nie wiedzą i głośno się do tego przyznają.

„Ale żegnam politykę i wracam do wiadomości wdzięczniejszych. Czas jest rozpatrzyć się i powiedzieć, co się dzieje wokoło nas?“

Pustki! bo wszystko co żyje piórem i językiem, rozbiegło się gdzieś po świecie. W teatrach słychać stuk i łoskot — każdy wyporządza, oczyszcza i gotuje się do przyszłego sezonu. A jeśli który z przedsiębiorców spróbuje dać znak życia, to zaraz śpieszy zamknąć drzwi napowrót: takie znajduje przyjęcie od publiczności.

P. Klodowensz Hugues, poeta i poseł, doświadczył na sobie tej twardej okazyi. To co się stało z jego sztuką w Teatrze Opery Komicznej, dowodzi najlepiej, że nawet piękne wierszowanie i szumny tytuł: „Sen Dantona“ nie potrafią zatrzymać uciekającej publiczności. Autor, aby ocalić honor, zaapelował do rodzinnego miasta i przeniósł swą sztukę na scenę w Marsylii. Tam w roli „Dantona“ występuje sławny komunista Lisbonne. Ma to być, co się zowie, wielka atrakcyja. Jakkolwiek bądź, współzaciąnkowcy dźwignęli sztukę z upadku—i z przesadą sobie właściwą podnieśli ją do takiej wysokości swemi oklaskami, że chyba tylko Marsylczycy zdobyć się na to mogli...

Przyjaciele i koledzy poetów! Oj, puściliż oni tu wodze swoim dobrym chęciom, usiłując podrażnić jakby do walki kogutów dwóch starych przyjaciół: Daudet'a i Zolę! W ostatnim liście wspominałem już wam z powodu „Nieśmiertelnego“ Alf. Daudet'a i niespodziewanego wystąpienia Zoli w roli przyszłego kandydata do Akademii Francuzkiej—do owej akademii, której Daudet się zarzekał, jak dyabła na Chrście Świętym!

Nie zaspali tej sprawy poczciwi dziennikarze, i każdy z kolei starał się tak zamącić w tej wodzie, aby sprowadzić poróżnienie i starcie się dwóch sprzecznych opinii. Stara ta strategia nie udała się przecież. Każdy z dwóch przeciwników, zostając przy swem zdaniu, nie dał się wziąć w zastawione sidło i bitwa skończyła się ostrzeleniem placu z braku walczących. Mają oni obydwaj obszerną dla siebie arenę, a nie ubiegając się o próżne zaszczyty, pewni są, że przychylność publiczności nie uczyni im zawodu. A jeśli do tego p. Zola stanie się trochę akademikiem w swych powieściach, nikt na tem pewno nie straci...

Kiedy znakomici mężowie zaprzętają się takimi fraszkami, jak kandydatura do Akademii, pani Adamowa, redaktorka „Nowego Przeglądu“ nie zasypiając na zdobytych laurach w walce z Bismarckiem o ogłoszenie tajemnych papierów kanclerza, — obdarza swoją czytającą i sympatyzującą publiczność nowem dziełem, które ukazało się właśnie w tej chwili pod tytułem: *Un rêve sur le divin*.

Jest to próba nie pierwsza w tym rodzaju, choć pierwsza, jako plód pióra tej pani: próba, jak pogodzić pogaństwo z chrześcijaństwem. Pani Adamowa, ile wiemy z jej pism, starała się zawsze starożytny kult pogański, w którym jest rozmiłowana, podnieść na wyżyny, na jakich nawet jego najgorliwsi zwolennicy niegdyś, jak Antoninowie i Marek Aureliusz, nie marzyli nigdy go stawiać. Chciała ta pani nadać blask i znaczenie idealne religii opartej na zmysłowej stronie natury ludzkiej i zespolić ją z pojęciami chrystyanizmu, tak, aby dać jej nawet przodujące miejsce.

Oto jak autorka sama tłumaczy główny cel nowej książki:

„Kiedy dusza zebrała nakoniec w życiu dostateczny plon: prób, boleści, doświadczenia ziemskiego i kiedy je wymienia na dary niebieskie, kiedy otrzymuje swoją *uraniczną* zapłatę, wówczas opuszcza z łatwością swoje materialne więzienie...

„Bóg zmusza wówczas ciało — oddać duszę.”

Trudno jest w pobieżnym artykule kroniki dać wam dostateczny rozbiór nowego „Marzenia“, pani Adamowej są tam rzeczy dobre, są i mierne, są i mało warte. Jest to filozofia samouka, któremu braknie głównej i gruntownej podstawy: prawdziwej nauki filozoficznej. Autorka jest widocznie jedną z tych istot starego pogaństwa, które pod koniec jego zawodu i już na progu powstającego chrześcijaństwa, w Areopagu Ateńskim wznosiły ołtarz ofiarny Panteonu z napisem: „Nieznanemu Bogu“. Pani Adamowa myśli też o Bogu, ale jej się zdaje, że ten Bóg nieznan jest jeszcze. Czekajmy więc, aby wydać o tem nasze zdanie, aż kiedy ta pani znajdzie swą drogę do Damaszku...

W podziale trudów około wydawnictwa dzieł zupełnych i pośmiertnych Wiktora Hugo, wydawnictwa, które, według ostatniej woli zmarłego, spadło na członków jego rodziny, p. Ulbachowi dostał się obowiązek napisania wstępu do tego monumentalnego, wytwornego wydania. We wstępie tym znajduje się życiorys poety. Rodzina zgodnie z wydawcą tę część pracy, wymagającej biegłego i delikatnego pióra, przy głębokiej znajomości przedmiotu, powierzyła wytrawnemu pisarzowi. Wybór usprawiedliwia się w każdym względzie. Ulbach był nie tylko starym i dawnym przyjacielem poety, ale i powiernikiem prawie jego wyobrażeń, myśli i chęci; w politycznym, jaki w literackim znaczeniu podzielał przekonania i dążności Wiktora Hugo.

P. Ulbach, jak dotąd, wywiązał się znakomicie z włożonego nań obowiązku. Z wielkim talentem, i blaskiem rozwinął przed nami życie, tak długie i tak pełne, tak umysłowo bujne. Bezstronnie i z wielkim umiarkowaniem oddaje sprawiedliwość wieszczowi i człowiekowi i ukazuje potężne przymioty jednego z największych francuzkich poetów, nie tylko naszych, ale i przeszłych czasów.

W tej chwili ukazał się już tom trzeci wspomnianego wydania, niestety! mało przystępnego, dla swej wysokiej ceny, wydania „Bibiofilów“. Tom ten, oprócz głównego tytułu: „Życie Wiktora Hugo“, nosi jeszcze drugi: *Lata zwycięstwa 1835—1840*. Do tej epoki lat dziesięciu, najświetniejszej i najchlubniejszej może z całego żywota mistrza, należą: *Les Feuilles d'automne, Les Rayons et les Ombres, Les Chants du Cripuscule, Les voix intérieures*—i nakoniec to wspomniane arcydzieło w prozie: *Notre-Dame de Paris*.

Oprócz tekstu p. Ulbacha, ten tom trzeci życiorysu Wiktora Hugo zawiera jeszcze pięć autografów, i z jaki tuzin rycin, według oryginalnych zarysów, niezmiernie ciekawych. Pomiędzy temi rycinami są odbicia dawniejszych, a dziś już wielkiej rzadkości rysunków.

Na „Valete“ zostaje mi najwyraźniejsza kwestya: kwestya miłości i małżeństwa! Dosyć może by było powiedzieć, że podniosł ją *Figaro*, aby odstawić kałamarz i pióro na stronę odłożyć, ale ponieważ w otwarte szranki wjechali, bygonić na ostrze, tacy kawalerowie, jak Renan, Bourget, Dumas i Zola,—należy więc tu powiedzieć słów kilka...

W tej chwili właśnie dochodzi mnie dość dziwna wiadomość, iż jedna z błękitnych pończoch Albionu, traktując ten przedmiot w osobnej książce, zakonkludowała, „że ta poważna instytucja już zbankrutowała“, że przyszła godzina, aby *wolna miłość* zajęła jej miejsce. Taka propozycja, i to ze strony Angielki, jest prawdziwym fenomenem; ale żem jeszcze tej książki nie czytał, czynię więc wszelkie zastrzeżenie i odsyłam resztę na później.

Teraz, co do miłości, zaznaczmy nowe wystąpienie p. Renana, i to w jaknajmniej oczekiwanym sposobie.

Figaro, zawsze ten sławny Golibroda Paryzki, mający w pogotowiu rozmaite brzytwy i sezo-

ryki, które mu służą do utrzymywania czytelników w stanie rozdrażnionej ciekawości i tym sposobem kopania złota z tłumów ubiegających się o nowości i zgorzenie—wprowadził od pewnego czasu do lamów swoich coś w rodzaju konkursu literackiego, który mu się dość dobrze udaje dotychczas. Nazywa się to: „Kwestyonaryusz *Figara*.“ W obranym przedmiocie redakcja stawia pewien szereg zapytań. Odpowiedzi daje publiczność. Dziennik wreszcie zdaje sprawę i wyciąga ostateczne wnioski.

Na początku Sierpnia, obrano do rozpraw figarowych miłość. Zapytanie brzmiało tak: „Która książka najdelikatniej i najwymowniej traktuje o miłości?“ „Wiele z naszych prenumeratorek—mówi—golibroda“, w swoich odpowiedziach, wskazało nam: „Naśladowanie Chrystusa Pana“, Ewangelie, Stary Testament. My oddaliśmy ten wybór na sąd p. Renana, i oto jego odpowiedź...

Odpowiedź to jest za długa, abym tu ją mógł wam powtórzyć co do słowa, a w streszczeniu zaś straciłaby całą swą wartość: zostawiam więc to dobrej woli ciekawych; znajdą ją w łamach *Figara*. Tu chcę tylko powiedzieć, jaka to jest rzecz dziwna, a czysto - francuzka, aby p. Renan w swoich leciech i ze stanowiska, jakie zajmuje, brał pióro do ręki i nie zawahał się mieszać w miłosne sprawy ulicznika dziennikarskiego.

Nieprawda, że to już dość dziwne?.. ale przy czytaniu artykułu, zadziwienie zaostrza się jeszcze tem: w jaki sposób p. Renan zapatruje się na miłość i jak o niej mówi?

Na początku pochwała wybór trzech książek wspomnianych wyżej, ale chciałby do nich dołączyć szczególnie: „Wprowadzenie do życia pobożnego“ przez Ś-go Franciszka Salezego, wyciągając zaś na scenę świętego biskupa i komentując poswojemu jego niezrównanej powagi i czystości dzieło, p. Renan czyni zeń jakby poprzednika Zoli.

Widać, że miłość dla p. Renana ma tylko jedno znaczenie, niemające nic wspólnego z idealami i siłą duchową; autor dał nam zresztą jasne tego dowody, w swej „Ksieni z Jouarre“ i w swym „Kapłanie Dyany.“ Nie mamy więc żadnej pretensyi w tym względzie. Ale wprowadzając do *Figara*, tak żartobliwe i lekkie komentarze świętego Franciszka, podsuwać mu konkluzje, o których ani się śniło świętemu: to może zawiele żartów, nawet na tak uczonego akademika, jak p. Renan,—słowem: komentarze te są tak dziwne a grunt, na którym nas stawia autor, tak ślizki, że ja tutaj nie podejmuję się nawet powtarzać wywodów uczonego. Tego dosyć.

W ANTYLLACH.

przez

Quatrelles

przekład M. K.

(Dalszy ciąg).

Wszyscy wkoło mnie nuca, śpiewają, gwizdzą arya „Lenora“ z „Trubadura.“ Odchwili gdy stąpiłem na ląd wyspy, śpiew ten mnie prześladowe. Na ulicach dręczyły mnie katarynki; w teatrze trafiłem na przedstawienie opery, w salonach kateczą te arya fortepiany!

Ponad moją głową niebo blade - niebieskie. Pozostawiam za sobą kilka gwiazd upartszych, niechęcych zniknąć.

Drzewo mangowe rośnie obficie w tych strojach, a na każdym taka moc owoców, iż literalnie gałęzie gną się pod ich ciężarem, z dojrzałych łuskwini wypadają ziarna na ziemię i te zbiera trzoda. Kreolowie każdemu zaśmieją się oczy, gdy wspomnie mu tylko o cudnych i tak rozlicznych owocach, jakimi Bóg Kubę obdarzył.

Przybywam do małej stacyi *Aguada del Cura*,

gdzie jednak niema ani fontanny, ani proboszcza. Wokoło widzę tłustą czerwoną ziemię, tego pięknego czerwonego koloru dzbanów etruskich. Jak oko dojrzeć może, wszędzie ciągną się pola ananasów, gdzieniegdzie tylko przegrodzone niewielkiem polem kukurydzy, powiewającej srebrnymi kiściami.

Wszystko tu przybiera przesadne rozmiary. Nasze dzwonki podptotowe tam są prawdziwymi dzwonami. Trawa wyrasta w trzcinę cukrową, oset zamienia się w ananas, kartofel—w banan.

Skłonny głowy! Oto królewska droga *Vuelta de Abajo*. Nie dlatego zachęcam was do tego holdu, iż pełno na niej cudownych kwiatów i roślin—nie; lecz prowadzi ona w okolice, gdzie rośnie najlepszy tytuń na świecie. Jest tam dwadzieścia ośm mil tego skarbu. Wszystek tytuń pochodzący z wyspy Kuby jest pyszny, ten jednak niezrównany.

Dlaczego tytuń z *Vuelta de Abajo* lepszym jest, niż z Mantauras lub Cienfuegos, na to nie umiem ci odpowiedzieć czytelnika. Zapewne dla tej samej przyczyny, dlaczego wino Sauterne kosztuje butelka 8 franków, a Château Iquem 16.

W *San Felipe* zmieniamy pociąg. Stacyjka nie wielka i w Europie nie byłaby warta ceny tych ptasząt siadających na jej dachu. Cóż-by to zapłacono za tę papugę białą z czarnem i z purpurowym czubkiem, skaczącą obok zielonego jak szmaragd ptaszka! Dalej fruują inne równie świetnie upierzone śpiewaki, a wśród nich kręją się ptaszki-motyle, prześliczne kolibry.

Przeładowywanie naszych pakunków z jednego pociągu na drugi odbywa się tu w sposób nader beceremonialny. Czarny nie dźwignie kufr nigdy. Posuwa go, stawiając, to jednym, to drugim brzegiem, dopóki wreszcie nie obije wszystkich spojów; a jeżeli, podróżniku, nie byłeś dość przezornym, by kufer obwiązać mocnym sznurem, ujrysz połowę swych rzeczy wylatującą na drogę, z której pozbierają je po odejściu pociągu.

Dla określenia ciężkiej, nadludzkiej niemal pracy, mówi się u nas: pracować jak Murzyn; otóż widziałem ja tę ich pracę. Murzyn Gwinejski, istny kolos, do wpół postaci nagi, niesie na głowie nader troskliwie maleńkie pudełko do kapeluszy. Słyszac go jednak, jak stęka, jak ciężko oddycha, z jaką ostrożnością stara się utrzymać równowagę niesionego pakunku, przysięgłbyś prawie, iż biedaczysko dźwiga pr ygniatający ciężar. Również widziałem w *San-Felipe*, gdzie staliśmy pół godziny, tego rodzaju przykład muryńskiej pracowitości. Trzech Murzynów, z płacą dzienną dwóch piastrow za godzin dziesięć pracy, wynajęto do przekopania poprzecznego przy plancie rowu. Przez ciąg trzydziestu minut każdy z nich przeszył łopata dwanaście razy i wypalił trzy cygaretki — zatem każde zagłębienie łopaty w ziemię wypadło po pięć centimów.

W okolicy Maestra, jurydykcyi Santiago de Cuba, istnieje wzorowa plantacya kawy, nadzwyczajnie w całej wyspie cenionej i poszukiwanej. Murzyni mają się tam wybornie i pewno nie zmieniliby swego losu niewolników na dolę niejednego z wolnych Europejczyków. Bo też ich *magorał* jest człowiekiem fenomenalnym, jakich się nie spotyka często. Umie być stanowczym a liłościwym zarazem i, o cudzie! godzi filantropią z handlem niewolników! Don Hernandez patrzył pewnego wieczora na szereg Murzynów, niosących z pola na główach w workach palmowych oczyszczone ziarna kawy. Szli, ciężko oddychając, pochyleni, pot spływał po ich twarzach, żaden jednak nie śmiał poskarżyć się, ni jęknąć. Don Hernandez pomyślał: czy przecież nie byłoby to rzeczą bardziej ludzką, a nawet korzystniejszą, zwozić ziarna w taczkach? Administracya plantacyi pomysł uznała za dobry, doktor nie zganil go również. W miesiąc też każdy Murzyn otrzymał ładne nowe taczki, z którymi udał się na pole; lecz proszę sobie wyobrazić zdumienie don Hernandeza, gdy ujrzał Murzynów wracających do składow z taczkami pełnymi kawy, niesionymi na główach...

Kleszczowina, roślina znana, wydająca olej ry-cynowy, rośnie tu wszędzie, jak chwasty u nas.

Wokoło słupów telegraficznych wiją się liany kwitnące, rozwieszające się dalej po drutach—jednym słowem, takie tu bogactwo kwiatów, jakie tylko wyobraźnia przedstawić sobie może.

Wreszcie ruszamy dalej.

Co chwila jakiś „guajiro“ dumnie dosiadający ci-sawego konika, ze strzelbą przewieszoną przez ramię i ciężkimi srebrnymi przy butach ostrogami, pędzi galopem obok pociągu. Upaja się powietrzem. Wiatr powiewa końcami jedwabnej chustki, spadającej mu na kark zpod szerokich skrzydeł kapelusza, plecionego z cieniutkiej słomy. Pod lewym ramieniem trzyma troskliwie koguta przeznaczonego do walki, który ma łeb i koniec grzbietu oskubany z piór, skrzydła przywiązane do boków, nogi uzbrojone w ostre kolce. Czerwona tłusta ziemia oblepia nogi konia do pęcin.

Zadyszany wędrowiec biegnący boczną drogą, zdaleka daje znaki maszynyście, iż chciałby wsiąść do pociągu. Maszynista, dobra dusza, zwalnia bieg lokomotywy; wędrowiec, przeskoczywszy baryerę, dostaje się szczęśliwie na platformę ostatniego wagonu.

„Jeżeli zła droga, przebywaj ją co najprędzej“—mówi hiszpańskie przysłowie—do którego maszynyści dróg żelaznych starają się stosować jak najściślej. Skoro więc droga dobra, pociąg idzie dwanaście kilometrów na godzinę, w razie potrzeby i złego stanu toru, potrafi przelecieć ośmdziesiąt.

Upał zaczyna być—nie do zniesienia. Jedziemy powolutku. Pod zwycięzkimi promieniami słońca, wszystko umilkło, odrętwiało. Natura została pokonana. Myśl, taksamo, jak ciało, staje się ociężałą. Blask dzienny razi oczy, powieki zamykają się pomimowoli. Podróżni śpią z cygarami w ustach. I ja usypiam bezwiednie, nieobudzę się aż dopiero w Batabano.

Guajiros, ¹⁾ biali wieśniacy wyspy Kuba.

Żaden typ z ludności zamieszkującej Kubę nie jest tak charakterystycznym i ciekawym, jak „Guajiro.“ Biały wieśniak ma odrębną zupełnie, właściwą sobie fizioznomią.

Czy w krwi jego jest jaka przymieszka krwi rabusiów morskich, śmiałków o brązowej skórze? Zuchwała jego odwaga pozwala czynić to przypuszczenie. Podobny jest on do Katalończyka w zręcznej umiejętności przeprowadzenia jakiegoś korzystnego interesu, a w lenistwie dorównywa Andaluzjczykowi. Jest równocześnie szczerym i przebiegłym, odważnym i samochwalcą. Zabobony zastępują u niego religię.

Guajiro pracuje niekiedy, większość przecież woli się obywać bez najniezbędniejszych rzeczy i patrzeć na niedostatek najbliższych, za cały posiłek zjesz pieczony banan, lub owoc „yucci“ i popić je wodą, chodzić w łachmanach, niż własną ręką uprawiać rolę, chociażby to była najurodzajniejsza na świecie ziemia. Są jednakże zajęcia, którym się oddaje: „Sabanero“ pilnuje trzód konno; „montero“ towarzyszący mu pieszo; „peon de ganados“ wyprowadza ich na drogę.

Zajmują też miejsca „magorałów“, to jest nadzorców niewolników w plantacjach. Właściwy guajiro uprawia rolę dla siebie jedynie, jak również hoduje bydło i drób dla własnej korzyści.

Ten ostatni typ właśnie najciekawszym jest do badania. Wyciągnięty na wygodnej ławie pokrytej krowią skórą, paląc papierosa za papierosem, patrzy na uwijającą się żonę. Rzadkokiedy znajduje się w chacie Murzyn do usługi. Żona tego guajiro, otoczona gromadą dzieci, czepiających się jej spódnicy, pierze ubogą bieliznę, gotuje obiad, strofuje dziatwę zgłodniałą, zalecając jej cierpliwość. Ten ruch w chacie znużył niezadługo męża i pana: idzie też wyciągnąć się w cieniu w zawieszonym hamaku, poleciwszy żonie, aby mu tam bezzwłocznie przyniosła filiżankę czarnej

kawy, którą pije powoli, zapaliwszy nowe cygaro i starając się troskliwie o niestrząśnienie popiołku

Nieraz zwiedzałem te mieszkania, gdzie na pierwszy już rzut oka widać lenistwo gospodarza.

Biedna guajiro! po co ci się zamordowywać? Po co myć, czyścić, sklejać sprzęty, składające się z czterech krzeseł, każde innego gatunku, z kawałkami obdartej skóry świadczącej, iż były nią niegdyś pokryte—z pnia drzewa z przymocowaną na nim miską, oddawna zastępującą ci umywalnią, i paki, kołyszącej się na wszystkie strony, a pełniącej obowiązki stołu? Po co się masz pocić nad myciem podłogi, pełnej dziur i rozpadlin?... Dodajmy do tego komin wiecznie dymiący, sznury, na których suszy się bielizna, prostą deskę przybitą do ściany na kuchenne naczynia i filtr z gliny porowatej w kacie, a będziemy mieli całość urządzenia mieszkania wieśniaczego. Przez szpary w ścianach wlatują swobodnie rozliczne owady, napełniając izbę brzęczeniem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Nowe sposoby tępienia filloxery. — Zmiany obserwowane na Marsie. — Wyprawa Stanleya.

Dotychczasowy sposób tępienia filloxery, tego straszego nieprzyjaciela winnic, zasadzał się na tem, że najmowano ludzi, których obowiązkiem było doglądać winnic i dotknięte tym pasożytem krzewy niszczyć doszczętnie.

Robota ta połączona była z wielkimi trudami i kosztami, filloxera bowiem, jak wiadomo, gnieździ się głęboko, czasami na łokieć lub półtora w ziemi, i niszczy korzenie. Najemnicy winni odkopywać ziemię i krzewy dotknięte zarazkiem filloxery niszczyć. Rozumie się, że przy takim sposobie, nazwanym radykalnym, bardzo często ucierpiały krzewy zupełnie zdrowe, i z drugiej strony, nigdy poszukiwania nie mogły być kompletnymi, gdyż przekopać ziemię na takiej głębokości i przejrzeć wszystkie korzenie,—jest rzeczą możliwą jedynie w teorii. Otóż ten radykalny sposób okazał się wielce niedostatecznym, a to z tego względu, że gdy jeden krzew dotknięty jest filloxerą, w krótkim czasie uledz jej może cała winnica. Dziś filloxera rozprzestrzeniła się prawie po całej Europie.

I tak w Szwajcaryi, gdzie posługiwano się powyższym sposobem tępienia filloxery, pomimo znacznych kosztów lożonych corocznie, rozprzestrzeniła się ona coraz bardziej. W Niemczech znaleziono ją poraz pierwszy w roku 1881; najenergiczniejsze środki, zarządzone w celu jej wytrzebienia, spełzły na niczem i choroba winnic pojawia się tam od czasu do czasu, w różnych miejscowościach. W roku 1887 pokazała się nad Renem, w bliskości Bibrichu, Wiesbadenu, w Sztutgardzie i około Lipska. Podobnie i w północnych Włoszech wypada corocznie uciekać się do tępienia szkodnika.

Wobec tego przeciwko dotychczasowemu sposobowi tępienia filloxery powstawały coraz częściej głosy w Niemczech. W Austrii i w Węgrzech, a także w południowych Włoszech, rządy już dawniej odmówiły przyjęcia udziału w tępieniu filloxery sposobem „radykalnym.“ Podobnie i w Krymie stosowanie tego sposobu nie przyniosło żadnej korzyści. Znaleziono tam owad poraz pierwszy w roku 1880 i zrobiono wszystko co możliwe dla zniszczenia go; pomimo to rozprzestrzenił się, tak, że w roku zeszłym trzeba było znowu uciekać się do środków zaradczych. Na Kaukazie od r. 1882 bezustannie dokonywają tępienia

filloxery, a pomimo to corocznie regularnie się ona pojawia.

Z tych powodów jest rzeczą widoczną, że sposób radykalny niszczenia filloxery jest wcale nieradykalnym, pomimo znacznych kosztów i szkód, jakie sprawia w winnicach. Dlatego wypadnie, za przykładem Austrii i Włoch, najzupełniej go zarzucić, a to tem więcej, że inne środki, tępiące filloxerę, wydały pomyślniejsze rezultaty. Sposoby nowe nazywają się *leczeniem* krzewów dotkniętych filloxerą, a zasadzają się na tem, że, nie próbując rzeczy niemożliwych (zupełne wytępienie), podtrzymują dożytki krzewy wina i sprawiają, że pomimo choroby wydają pewien plon.

Jest tych środków kilka: a) zatopienie winnic dotkniętych filloxerą; b) zastosowanie siarkowodoru, i c) rozprzestrzenianie krzewów amerykańskich.

Przyjrzyjmy się pokrótce tym sposobom:

Zatopienie winnic dotkniętych filloxerą jest, jak przekonano się, jednym z najlepszych sposobów leczenia: naturalnie, możliwym on jest jedynie wówczas, gdy miejscowe warunki pozwalają na użycie go. Z tego względu bardzo obszerne zastosowanie ma on dziś w południowej Francji, gdzie dokonywają spuszczenia wód z Rodanu i gdzie proponowanem jest wykopanie kilku nowych kanałów w tym celu. Z chwilą wykonania projektu możliwym się stanie zatopienie przetrzezi wynoszącej przeszło dwadzieścia pięć tysięcy hektarów ziemi.

Leczenie winnic za pośrednictwem siarkowodoru zasadza się na wprowadzeniu w grunt, przy pomocy odpowiednich aparatów, wielkiej ilości tego gazu, w ten sposób jednakże aby gaz zabijając owady, nie niszczył korzeni. Uskutecznia się to zazwyczaj dwa razy do roku: wczesną wiosną, a później, po raz drugi, podczas lata. Zarówno we Francji, jak i na Węgrzech, rząd dostarcza siarkowodoru i potrzebnych aparatów osobom pragnącym w ten sposób leczyć dotknięte filloxerą winnice.

Zauważono, że krzewy amerykańskie okazują wielką odporność na działanie filloxery i pomimo jej rozwoju na korzeniach wydają piękne grona, z których jednakże nigdy nie udaje się otrzywać tak dobrego wina, jakie wydają grona francuskie.

Skutkiem tego przystąpiono do szczepienia krzewów francuskich na korzenie amerykańskie, które okazują bardzo mały wpływ na działanie filloxery. W ten sposób otrzymywano jagody o wszystkich własnościach najlepszych gron francuskich. Dziś we Francji znajduje się już wielka liczba ogrodów z takich przeszczepionych krzewów na korzenie amerykańskie; ziściły one najzupełniej nadzieję hodowców, jakie pokładali w tym sposobie uchronienia się od nieprzyjaciela ich winnic.

Zebrane dane statystyczne we Francji, Włoszech i Węgrzech od roku 1878 do 1887 wykazują znakomitą wyższość nowych sposobów leczenia nad dawniejszym „radykalnym.“

Zupełne wytępienie filloxery jest, jak przekonano się, rzeczą niemożliwą: taksamo, jak niepodobna wytępić innych szkodliwych owadów i należy je znosić, również pogodzić się należy z myślą, że filloxera niszczyć będzie i nadal winnice; lecz można zmniejszyć jej szkodliwość, przy pomocy wyżej przytoczonych sposobów.

* * *

Wiadomo, że astronom włoski z Medyolanu nazwiskiem Schiaparelli odkrył na Marsie całą sieć kanałów morskich, które po upływie pewnego czasu przedstawiały się podwójnymi i ściśle do siebie równoległymi. Postawiono śmiałą hipotezę, iż są to kanały sztucznie zbudowane. Istnienie tych podwójnych kanałów stwierdzonem było również w roku 1886 przez obserwacje dokonane w Nicei, lecz pomimo to niepodobna było stanowczo objaśnić znaczenia zjawisk dostrzeżonych na sąsiedniej planecie.

Obecnie Mars znajduje się znowu w sąsiedztwie Ziemi i chociaż nie w tak sprzyjającym do badań położeniu, jak to miało miejsce w latach 1886 i 1882, jednakże dzięki doskonałym warun-

1) Wymawiać Guajiros.

kom atmosferycznym i przewybornym narzędziom astronomicznym w obserwatorium p. Bischofsheima w Nicei dokonano nowych obserwacji nad powierzchnią Marsa.

Na posiedzeniu Akademii Paryzkiej z 14 Maja p. Porrottin odczytał sprawozdanie o obserwacjach w Nicei, z którego pokazuje się, że część kanałów tak dokładnie widzianych w roku 1886 znikła, a niektóre części wykazane na mapie przez Schiaparellego zostały zatopione. Poprzednio Mars, podobnie, jak wszystkie planety był koloru czerwonego, obecnie jest koloru sino-zielonego, jak morze. Pas lodowaty przy biegunie północnym jest najdokładniej widoczny, a obserwujący go zauważyli, że jest przecięty kanałem wyróżniającym się bardzo wyraźnie na białej massie lodów i śniegu. Kanał ten łączy ze sobą poprzednio rozdzielone dwie części morza.

Spostrzeżenia te są niezmiernie wagi; w wyższym jeszcze stopniu niż pierwszej zainteresowały uwagę powszechną, co do istnienia kanałów na Marsie; lecz, niestety, nie wyjaśniają nam tego, co właściwie na nim się odbywa. Śmiała hipoteza istnienia sztucznych podwójnych kanałów w obecnej porze upada najzupełniej: zauważone w ostatnich czasach zmiany zdają się być zwrotami naturalnymi, lecz jakimi siłami przychodzą do skutku? — nie wiadomo. W każdym razie kataklizmy na Marsie są tak niezwykle, że możemy sobie powinszować, iż nie odbywają się na naszej ziemi, na której.. narzekamy na zalanie Królewskiej ulicy.

* * *

O losie wyprawy Stanleya dotąd niema żadnych pewnych wiadomości, a w gazetach spotykamy się z najsprzeczniejszymi doniesieniami w tym względzie. I tak, z Brukseli 19-go Czerwca donoszono jakoby król Leopold otrzymał wiadomość urzędową o śmierci Stanleya, który miał zginąć w Afryce środkowej wraz z całą wyprawą, złożoną, jak wiadomo, z 600 blisko ludzi. Gubernator Kongo, Jansen, zawiadomił korespondenta francuskiej gazety „Gaulois“ o rozpaczliwym, bez wyjścia położeniu Stanleya. Znakomity podróżnik bowiem miał spotkać po drodze, nie tylko nieprzyjazne mu plemiona, lecz także drogę nieprzebytą, błotnistą, gdzie w niektórych miejscowościach stoi woda na metr wysokości. Ludzie jego chorują z wycieńczenia i umierają. „Indépendance Belge“ pisze, według wiadomości otrzymanych od korespondenta lisbońskiego z Kongo, że Stanley jest ranny, a większość załogi rozbiegła się. „Journal des Débats“ donosi, według słów korespondenta swego z Zanzibaru, że większa część załogi Stanleya powróciła w żałobie po śmierci swego wodza. Sprawcą śmierci Stanleya według nich miał być Tippu-Tib, dowódca plemienia, który znienawidził podróżnika europejskiego za to, że działał w celach zniesienia handlu niewolnikami w Afryce.

Przytaczamy niektóre szczegóły wiadome z ostatnich chwil wyprawy skierowanej dla wyzwolenia Emina-Paszy. D. 18 Marca r. z., Stanley dotarł ujścia rzeki Kongo, a ztąd udał się natychmiast do Stanley-Pool. Ekspedycja natenczas składała się z 700 ludzi. Z listu barona Reichlika, który umarł w drodze do Europy, pokazuje się, że przybyli 21 Kwietnia do Leopoldville, przyczem dowiadujemy się, że karawana postępowała niezmiernie wolno z powodu braku żywności; prócz tego, z powodu znużenia nadludzkiego prawie, umarła znaczna liczba ludzi. Z powyższych przyczyn rozpoczęto później podróż powolniejszą; amerykańscy misjonarze jednakże nie

okazywali żadnej pomocy wyprawie i niechętnie bardzo udzielali przewodników, co niekorzystnie wpływało na dalszy pochód.

Następnie Stanley wysłał statek parowy „Stanley“ po rzece Black, z załogą 150 ludzi, pod dowództwem majora Bartelotta, sam zaś wyszedł z Pool 1-go Maja z resztą ludzi i wozami. Według późniejszych wiadomości około 20 Czerwca, znajdował się w okolicach wodospadu istniejącego w bliskości Aruwimi, gdzie rozłożył się obozem major Bartello, a Stanley w towarzystwie 5 Europejczyków i 470 tamtejszych mieszkańców, puścił się w dalszą drogę. Co do Tippu-Tiba, który poprzedzał Stanleya i zobowiązał się dostawić mu w Aruwimi 1.000 ludzi, niema żadnej wzmianki.

J. S.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawska fabryka zegarków kieszonkowych**, zakładająca się przez spółkę udziałową, ma się wkrótce otworzyć. Zamierzonym jest nabycie za 100,000 rs. budynku przy ulicy Marszałkowskiej, gdzieby fabryka zaczęła funkcjonować już tej zimy. Budzi już ona uwagę i współzawodnictwo zagraniczne. Prócz kilkunastu listów z Francji, Anglii i stron innych, w których kapitaliści tamtejsi ofiarowują spółce udział kapitałów, przybył do Warszawy agent zagraniczny, Bellegarde, działający na korzyść kapitalistów obcych, którzy pragną wznieść w Warszawie podobną fabrykę, ma się rozumieć bez żadnej korzyści dla kraju, prócz pracy danej naszym robotnikom.

— **Wystawa obrazów** malarza Styki ma być otwarta dnia 15 Października r. b. w Salonie Krywulca.

— **W polskich Karpatach**, artykuł pióra Ad. Giełguda, zamieszczony w londyńskim piśmie: „English Illustrated Magazine“, jest nie tylko bardzo pięknie skreślonym obrazem górskiej przyrody, ale i pewnego rodzaju przewodnikiem dla Anglików, którzyby zapragnęli zwiedzać Tatry, do czego ich autor zachęca. Bardzo zajmującym jest opis Zakopanego, charakterystyka włościan podtatzańskich, górali i huculów, w czem mieści się opis szlachetnej pracy ks. Stolarczyka, w celu umoralnienia byłych opryszków, opis gości, przybywających w tamte strony. Artykuł zdobią bardzo piękne ilustracje, rysunku Witkiewicza; znajduje się między niemi portret króla przewodników tatrzańskich: Wojciecha Roja i gęślarza Sabały.

— **Ateneum londyńskie** zaprzecza pogłosce, rozszerzanej w Niemczech, jakoby praca sir Morella Mackenzi'ego miała być przedstawianą królowej Wiktorii w rękopiśmie. Lekarz cesarza Fryderyka III miał sobie zostawioną najzupełniejszą swobodę pióra.

— **Czterechsetna rocznica odkrycia Ameryki** przez Kolumba, przypada w 1892 r., i Włochy postanowiły uczynić z tego wspaniały akt uczczenia pamięci wielkiego swego ziomka, Rząd włoski powierzył rzymskiemu Towarzystwu Starożytności zupełne i krytyczne wydanie wszystkich pism, listów i wogóle całej literackiej spuścizny Kolumba, w połączeniu z historią jego życia i prac.

— **Pomnik Mazziniego** stanął we włoskim mieście Chiavari. Wielki pracownik w dziele odrodzenia Włoch, urodził się w Genui 1805 roku,

umarł w Pizzie w 1872 r. Król Humbert i następca tronu włoskiego są zapisani na liście składek, zbieranych na ten cel we Włoszech.

— **Osobiste wspomnienia** Alfonsa Daudet, wyjsć mają wkrótce w Paryżu pod tytułem: „Souvenir d' un homme de lettres.“ Ma to być rzecz pisana śmielej i otwarciej, niżeli *Les Immortels*, która to powieść dotykająca prawdziwych stosunków życia paryzkiego w kołach akademickich wywołała silne i mało dla autora przychylnie wzburzenie wśród literackiego świata francuskiego.

— **Trzy pantery** wraz z ich dozorcą i karmicielem, wysłała z Hamburga menażerya Hagenbecka do Francji, gdzieś nad morze, gdzie przebywa Róża Banheur, zamierzająca je portretować.

Sprostowanie.

W przeszłym numerze *Bluszcza* w kolumnie 5-ej, w łamie 2-m, wierszu 26-m od góry, zamiast „Padlewskiego“, czytać należy: „Padniewskiego.“

OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Nakładem M. Orgelbranda w Warszawie

Wyszły z druku

CHOROBY NERWOWE

opracował

Dr. JÓZEF STARKMAN

Cena egzemplarza 70 kopiejek, z przesyłką pocztą 80 kopiejek

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Dokończenie powieści pod tytułem: **Słowo honoru**, przez N. Godina.

TREŚĆ. Pogawędka. — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Nowiny paryzkie. — W Antyllach, podróże (dalszy ciąg), przez Quatrelles'a. — Z działu przyrody, przez J. S. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Dokończenie powieści **Słowo honoru**. — 25 wzorów ubiorów i robót z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.